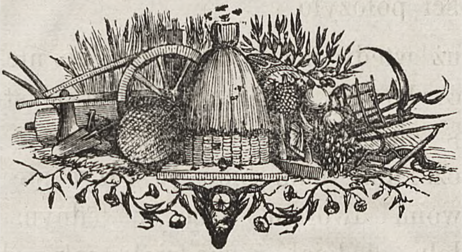
Tom VI. Nr. 9.
21. Marca. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Sobieski, król polski.

III. Dalszy jego żywot i śmierć.

Nie skończyła się wojna z Turkiem na odsieczy Wiednia, bo gdzież to jest w mocy ludzkiej, aby całą chmurę pogaństwa zdławić tak odrazu, żeby i śladu po nich nie zostało? Więc też i Turcy, choć odstąpili z pod austryjackiej stolicy, to cofając się do domu niszczyli węgierskie kraje po drodze, a nieraz bywało, zaparłszy się w jakim grodzie, nie chcą zeń ustępować. Szedł więc nasz król Sobieski aż do węgierskiej ziemi za Turczynem, i tam musiał mu się jeszcze nieraz dać we znaki, aż go wreszcie nagonił het, do własnej nory. I wielka była sława dla Polski z onych wszystkich bitew, ale nie było żadnego pożytku, bo Niemcy wylazłszy raz z niebezpieczeństwa, zupełnie się już o naszych nie troskali ani nie szli z pomocą, tak, że Sobieski zbiedzony i wygłodzony, musiał czemprędzej z wojownikami swymi wracać do ojczyzny, nie chcąc już zmarnieć zupełnie. I tak wrócili nasi z wielką ra-

dością do domów swoich, a nie jednego nie doliczono się tam w szeregach, bo wielu w obronie chrześcijaństwa na obcej ziemi gdzieś kości położyło.

A był to już wtedy jakiś taki czas, że nie mogłeś cicho w domu siedzieć, bo cię darli na wszystkie strony, a byliby i zjedli, gdybyś się nie był oganiał. Toż i Moskal zaczął wtedy coś z Kozakami nadrabiać i srożyć się na naszych, a Turek sobie swoim dworem, choć w jednym końcu pobity, przecie na Podolu siedział i siedział, jak gdyby przyrosły. Chcąc więc nasz król Sobieski z Turkiem się do reszty uporać, wysłał jednego z wojewodów do moskiewskiej stolicy, żeby tam z Moskalem pokój na jakiś czas zawrzeć. Jużci wojewoda ugodził się na pokój z Moskwą, ale nie za darmo, bo hardy Moskal korzystając z chwili, koniecznie chciał coś za to, że cicho będzie siedzieć. Więc wypadły te układy na naszą niekorzyść, bośmy musieli ustąpić sztukę ziemi Moskalowi i miast znacznych kilka, a między temi i Kijów, ową stolicę Rusi jeszcze przez Bolesława Chrobrego do Polski przyłączoną.

I pół biedy by jeszcze było, gdyby król, jak poprzód sławę i korzyść narodu mając na oku, zawierał pokój z Moskalem i szedł na poganów. Ale gdzie tam, inaczej się to składało, a to z tego powodu że i królowa Marja Kazimiera jęła się do rządów mieszać, wielki na króla wpływ wywierając. I wszystko to było nic potem, bo przecie rzecz stara jako ludzie mówią: że gdzie diabeł poradzić nie umie tam babę posyła.

Owóż królowa, rodem francuzka, a z polskiemi zwyczajami dobrze już obeznana, wielce była przebiegłą niewiastą. Jako matce trzech synów, chodziło jej najwięcej o to, aby im los świetny na przyszłość zgotować; a wiedząc dobrze jak to królów w Polsce obierają, troskała się już zawczasu, żeby synowie jej w królewskiej świetności żyć mogli, choćby też i żaden z nich nie był na tronie posadzony. Bywało więc mawia do Sobieskiego:

— Mój królu, tobie jako szlachcicowi i hetmanowi wystarczał odziedziczony po ojcach majątek, i znaczną nawet stano-

wił fortunę; ale czemże on jest w obec przepychu i znaczenia królewskiego?

A Sobieski rzecze:

— Moja Marysieńko, a nacóż mi majątków, kiedy mam cały naród pod swoją opieką, i nie pojedyńczy folwark, ale całą tę ziemię polską położył pan Bóg na mojem sercu, abym się nią jak własną i najdroższą ojcowizną opiekował.

— To masz tyle jak długoś królem — rzecze pyszna francuzica. — Ale cóż będzie z naszymi dziećmi, jeśli żadne z nich na polskim tronie nie zostanie? Wychowani na dworze królewskim i do królewskich przepychów włożeni, jakże potem żyć będą ze szczupłej fortuny? A choćby nawet jeden z synów królem został, to cóż inni dwaj uczynią?

— Ha cóż — mówi król — jeśli naród zasług moich, nie uwzględniając żadnego ze synów, na pana nie obierze, to sobie będą żyć jak mogli, byle uczciwie i sumiennie, a wielkość majątku toć najmniejsza moja Marysieńko!

A królowa na to zaperzyła się niby wielkim żalem i płacząc mówi:

— Ty nie dbasz o mnie i o moje dzieci, o ja nieszczęśliwa!

Więc dobremu królowi miękło zaraz serce, zbliża się a przepraszając pyta:

— I cóż ja mam zrobić, jak temu zaradzić?

Wtedy przebiegła francuzka jęła mu tłomaczyć, jako on chcąc być dobrym ojcem o dzieci starać się powinien, i jakoby mu to łatwo było idąc wrzkomo na Turka uderzyć na Wołoszczyznę, a poganom ją odebrawszy pod panowanie jednego z synów swoich oddać. I oto wymownemi słowy i różnemi chytremi sztuczkami niewieściemi umiała wnet króla ku sobie i swej myśli nakłonić, tak, że ów istotnie jął sobie brać do serca Wołoską wyprawę.

Jako się rzekło, Turcy siedzieli jeszcze podonczas na naszem Podolu, zajmując Kamieniec, warowną tegoż twierdzę. Więc król Sobieski, chcąc niby pogan do reszty już z kraju wyforować, zaczął zbierać wojsko, i zebrawszy go do czterdziestu tysięcy ruszył ku Rusi, ale zamiast Turka na Podolu poturbować, to on poszedł do Wołoszczyzny i tamte kraje wojo-

wał. A otoż nie była ta cała sprawa zupełnie sprawiedliwą, gdyż ją król nie tyle dla dobra kraju ile dla własnego zysku podejmował, z narażeniem życia swych poddanych i z ich krwi rozlewem. Więc też Sobieski, zawsze i wszędzie wódz dzielny i zwycięzca, przegrywał teraz we wszystkich utarczkach i nic nie mógł wskórać, bo rzecz ta szła zupełnie bez pomocy bożej, jako że pan Bóg nigdy nie dopomaga sprawom niesprawiedliwym.

Atoli czem trudniej szło to wojowanie Wołoszczyzny, tem bardziej zaciekał się król Sobieski, tak, że przez siedm lat całych, prowadził oną krwawą wojnę: czterykroć wyprawiał się na Multany i obsadzał kraj swojem wojskiem, ale zawsze w końcu orężem nieprzyjacielskim lub głodem i nędzą wyruszony, powrócić musiał do kraju bez żadnej korzyści. I była ta zaciekłość plamą królewskiego serca, bo nikomu nie dał pan Bóg prawa iść i gwałtem obce narody podbijać, a sroga kara czeka wszystkich zaborców, co chlebem drugich ludów się żywią, przemocą je zwojowawszy.

Więc też, po nadaremnych siedmioletnich utarczkach, wrócił Sobieski ze swoimi do kraju, a strapiony i znękany opuścił ręce zupełnie, i choć sławny obrońca Wiednia i wojownik nad wojowniki, dał się przecie ze wszystkiem zawojować żonie swej, francuzce. Nie on, ale ona rządziła krajem: ona rozdawała a raczej sprzedawała urzędy, ona dopuszczała się różnych przekupstw i niegodziwości, a że król na to nic nie mówił, jeno sobie we *Wilanowie* pod Warszawą siedział, ogrodem się zabawiając; tedy naród cały obrzydził sobie bardzo brudne rządy onej francuzicy, i przyszło nawet do tego, że wielu zaczęło myśleć o odebraniu korony królowi!

A patrzcież, co to złego narobiła przewrotność jednej niewiasty! Ubóstwianego nietylko przez swych rodaków, ale i przez cały świat chrześcijański uwielbianego wojownika, pogrążyła ona w dziwną bezczynność, w której on o niczem, jeno o zbieraniu skarbów dla swoich dzieci przemyśliwał; ona obaliła w całym kraju ład, choć na chwilę przez króla przywrócony; ona zasiała ziarno nieznanych między nami grzechów: kłamstwa, niewiary i przekupstwa.

Lecz pan Bóg, opuściwszy Sobieskiego w jego ostatnich

wojennych wyprawach, nie chciał przecie poniżyć go bardzo w obliczu narodu, mając na względzie jego niezmierną zasługę i obronę Chrześcijaństwa przed turecką nawałą, i powołał go do swojej chwały właśnie w chwili, gdy wiele dobrego psować się już zaczęło. Umarł król Jan trzeci z końcem sierpnia roku 1696, po dwudziestu dwóch latach szczęśliwego i nieszczęśliwego panowania, w sześćdziesiątym szóstym roku życia, a umarł śród zgryzot i umartwień, w pałacu swoim w Wilanowie pod Warszawą, kędy przepyszny ogród był założył. Gdyby Sobieskiego zabierał pan Bóg z tej ziemi jako hetmana wszędzie zwycięzkiego, byłby naród śmiercią jego wielce zasmucony; a tak nie wielka boleść ogarnęła ludzi na wiadomość o zgonie króla, bo w ostatnich latach jego panowania tyle było złego, iż niejednemu ono spokojny żywot zatruło, a świętość dawnych zwycięztw i dawnej chwały zupełnie z pamięci wyrugowało. Umarł król, a zostało po nim trzech synów Jakób, Alexander i Konstanty, i została wdowa francuzka, umartwień i śmierci jego przyczyna. I oto w samem ich łonie wszczęły się kłótnie tak, iż naród nikogo z nich na tron swój nie wyniósł, a swarząc się o osobę wybrać się mającego króla, popadał w coraz większe grzechy i nieszczęścia.

Moja piosneczka.

Ziemio moja śliczna, ziemio malowana,
Czemużeś ty smutna, czemuś zapłakana?
Czemużeś ty ziemio taka rozmodlona,
Taka zaśpiewana, taka rozżalona?

Zdawna twoje wody płyną krwią i łzami,
Anioł boży stoi nad twemi grobami,
I opieka boża płynie tobie zdawna,
Boś ty twoją wiarą i dziejami sławna.

Ziemio, ty nad życie dzieciom twoim miła,
A cicha i lekka w łonie twem mogiła,
Ziemio moja śliczna, pracą poświęcana,
Tyś samemu panu Bogu ukochana.

Niebiescy Anieli wiarę ci przynieśli,
I kmiecia na króla pierwszego wynieśli,
Więc w światłości Świętych i w krwi męczenników
Świecisz jak w koronie z pereł i z krwawników.

I masz ty Królowę, samą tę Najświętszą,
Maryję Panienkę najprzecudowniejszą,
Cudami słynącą w starej Częstochowie,
W Ostrej bramie Litwy, w ruskim Poczajowie.

Ziemio moja święta, niby z trzech a jedna,
Polsko, Litwo, Rusi, Ziemio moja biedna!
Niech cię ma w swej pieczy Matka Częstochowska,
I ta Ostrobramska i ta Poczajowska.

Niechaj prosi Panna u swojego Syna
Szczęścia tobie ziemio słoneczna, jedyna,
A ja pójdę wesół i umrę za ciebie,
I będę się za cię jeszcze modlić w niebie.

B. E.

Sąd komisarski,

czyli:

komu kukułka zakukała.

Działo się to w tej części naszej ziemi świętej, co jest dziś pod Moskalem, a w jednej wsi kędy żyło dwóch braci. Starszy zwał się Michał, młodszy Andruch. Żyli oni długo w zgodzie i miłości jak na braci przystało, to też pan Bóg im błogosławił; aż raz na wiosnę, skusiło ich licho wyjść razem na sianożęć, co ją mieli pod lasem. Słoneczko boże ledwo co wyjrzało, ranek był śliczny, i znaczyło się na pogodę. Idą bracia, cicho jeszcze, bo ptaki dopiero co zaczęły się budzić, aż tu naraz w pobliskim lesie kukułka zakukała.

— Słyszysz Andruchu jak kukułka kuka? — rzeknie Michał.

— A jużci słyszę, od czegóż bym miał uszy!

— Ba, nie sztuka słyszeć, ale czy ty wiesz co to kukanie znaczy? — zapyta znów Michał.

— O wa! wielka rzecz! A toć przed chwilą takem sobie myślał: Trzeba mi jutro pójść na targ do miasta, a jak mi kukułka na szczęście zakuka, to powiezę też i żyto na sprzedaż. No i cóż! kukułka zakukała, to ja sobie powiezę na targ żyto, i wezmę huk pieniędzy!

— Baj baju, widzisz go! zawoła Michał — a zkądże ty wiesz, że się to tobie ono kukanie patrzy? Oj głuptasie, głuptasie! Toć to mnie, a nie komu innemu, bo ja sobie idący tak rozważałem: — Czy też się człowiek doczeka przychówku od tej cieliczki po krasuli, co ma dwie niedziele?! — I ledwie sobie to pomyślałem, a tu kuka! Widzisz więc durny Andruchu że to na szczęście dla mego przychowku!

A Andruch nuż się śmiać co siły:

— Ha, ha, patrzajcie, to jemu zakukało! Oj, ponoć to nic z tego nie będzie.

A Michał już w złości:

— Nie śmiej się kiedy ja ci tak mówię, bo dalibóg...

— No to co dalibóg?

I tak od słowa do słowa, jęli pomstować na czem świat stoi, a potem nuż się brać za łby, i tak się szkaradnie wywodzili i pobili, że już od tej chwili nie było między nimi ani zgody ani spokoju.

Na drugi dzień, rychło świt, zwlókł się Michał z pościeli, wziął cieliczkę na sznurek, a westchnąwszy sobie głęboko idzie do moskiewskiego urzędnika, co to niby komisarz.

Komisarz stał sobie właśnie w oknie i palił fajkę, a Michał wchodzi na dziedziniec.

— Cóż tam powiesz?—rzeknie więc zaraz komisarz do niego.

A Michał pokłoniwszy się nisko dalejże rozpowiadać całą rzecz od początku do końca, okazując też sińce z owej braterskiej bójki.

— A pocóż tę cieliczkę tu przyprowadziłeś? — pyta komisarz.

A Michał na to:

— Ja tę cieliczkę przyprowadziłem do pana komisarza,

jeno coby pokazać jak wielka jest moja krzywda. Wiele razy na godzinę ta cieliczka ogonem kiwnie, tyle razy Andruch powiedział mi: psiawiara!.. Ja tylko dlatego daję tę cieliczkę panu komisarzowi.

— Dobrze moje dziecko — odpowiedział komisarz — skoro ty jeno dla tego cieliczkę przypędziłeś, to zostawże ją tu, a sam przyjdź za godzinę. Pokaże się to pokaże, komu kukułka zakukała, bo ja tu na to jestem.

Więc Michał uradowany pokłonił się i odeszedł; alić ledwie się za nim wrota zaparły, wchodzi Andruch, zgięty pod worem żyta.

— Cóż tam powiesz Andruchu? — pyta komisarz.

A Andruch zwalił żyto ze siebie, i pokłoniwszy się ku ziemi, dalejże tak samo jak Michał rozpowiadać całą historję.

— A to zboże po cóż przyniosłeś? — pyta komisarz.

— Oj na to wielmożny panie komisarzu — rzeknie Andruch — oj na to, coby było widno, jaka jest wielka moja krzywda. Bo ile ziarneczek w tym worku, tyle włosów wyrwał mi brat z czupryny. Ja tylko dla tego daję panu komisarzowi.

— Dobrze moje dziecko — odpowiedział komisarz — skoro ty jeno dla tego to żyto tu przyniosłeś, to zostawże go u mnie, a sam przyjdź za godzinę. Pokaże się to pokaże, komu kukułka zakukała, bo ja tu na to jestem.

Więc Andruch uradowany pokłonił się i odeszedł, myślący po drodze, że jużci nie brat ale on będzie miał prawo za sobą.

Za godzinę przychodzą znów oba do komisarza, a komisarz siedział już za stołem, a na stole cała kupa papieru i piór, nieprzymierzając jak słoma na boisku.

— Który z was starszy? — pyta komisarz.

— Ja wielmożny panie! — rzeknie Michał.

A komisarz na to:

— Kiedyś starszy moje dziecko, to ja ci muszę dać pierwszeństwo!

A Michał na te słowa mało ze skóry nie wyskoczył od wielkiej radości, i zgiąwszy się ułapił za kolana pana komisa-

rza, myślący że już jemu kukułka zakukała. Ale komisarz nic nie mówiąc kiwnie znowu na policjanta:

— Dajże mu pięć kijów, bo jemu się należy pierwszeństwo!

Zbladł Michał od strachu jak chusta, ale mu nic nie pomogło; położyli na ławę i biją. A Andruchowi twarz się rozweseliła od wielkiej radości, i ułapił za kolana pana komisarza, myślący że już jemu kukułka zakukała. Ale komisarz nic nie mówiąc kiwnie znowu na policjanta:

— Dajże i temu pięć kijów, żeby on się nie śmiał na drugi raz jak jego brata biją, i żeby wiedział komu kukułka zakukała!

Zbladł Andruch jak chusta, ale mu nic nie pomogło; położyli na ławę i biją. A skoro mu pięć kijów odliczyli, odezwie się do nich komisarz tak:

— Teraz już wiecie komu kukułka zakukała? Ani tobie Michale, ani tobie Andruchu, jeno mnie ona zakukała! Bo wam kije — a mnie cieliczka i żyto!

To rzekłszy pokazał im wrota, żeby sobie poszli z panem Bogiem, a oni też poszli ze spuszczonemi głowami, nie przymierzając jak konie, co je z owsa wypędzą. A skoro wyszli za wrota powiedzieli sobie: Lepsza słomiana zgoda, jak złoty proces! — i podali sobie ręce, i przeprosili się, i żyli odtąd w zgodzie i miłości aż po koniec żywota.

I żyli w zgodzie i miłości, a my czy żyjemy? Żrą się i procesują u nas ludzie: procesuje chłop pana a pan chłopa, użera Rusin na Mazura a Mazur na Rusina, a jaki ztąd pożytek? ani temu ani temu, bo jak świat stara prawda, że kędy się dwóch bije, tam ich trzeci bierze za łeb.

Żałujesz ty panu lasów i pastwisk, a pan jak się czuje w prawie, to ci ich juźci darować od razu nie chce, i już kłótnia gotowa. A jak przyjdzie ciężka chwila, to ani temu ani temu nic nie zostanie, i pójdą oba z torbami. Pomstuje Rusin na Mazura, czart jeden wie o co, a Mazur też Rusinowi zjeść się nie da; a jak was trzeci za łeb weźmie, to co? Oba się potem zwijacie jak muchy w ukropie, a tu rady nie ma, i kiepsko! Oj lepiej się jak Bóg przykazał kupy trzymać, kupą

wszystko robić, bo lepiej też wtedy znać tę robotę, siła z niej pożytku, a szczęścia tyle, jak żeby sto kukułek naraz zakukało, co daj Boże!.... **Józef Sęp.**

Gospodarska pogadanka.

Było to w Niedzielę świętą z południa a tak w Marcu, jakoby dziś nieprzymierzając. Ludzie już dawno porozchodzili, się z nabożeństwa do domów, a Wojciech wygłodniawszy jakoś, jeno próg chaty przestąpił, tak dalejże wołać na kobietę, żeby mu co rychlej jeść dawała, bo głodny. Zakrzątnęła się kobiecina, a że garnki już były od dawna do ognia przystawione, więc niezadługo stanęła kurząca się miska strawy przed Wojciechem. Znak krzyża świętego uczynił gospodarz, a potem wziąwszy łyżkę zaglądnął do miski i rzecze do żony:

— Moja Maryś, a toć już od kilku tygodni nic nam innego nie warzysz jeno kapustę i ziemniaki, ziemniaki i kapustę.

— No, a cóż ty chcesz innego? — pyta gospodyni.

— A żeby choć raz garnuszek grochu!

— Tak grochu, a zkądże ci go wezmę kiedy nie ma.

— Prawda, mało go było; źle się udał przeszłego roku — mruknął Wojciech, i tak mrucząc coś dalej, zabrał się do jedzenia. Ot za łaską Bożą sprzątnął jakoś wszystko, bo głód to najlepszy kuchta, a obtarłszy gębę prawi:

— Muszę też w tym roku dopilnować grochu, bo czy go bisi nadali, już mi się coś od kilku lat nigdy nie udaje.

A Wojciechowa nato:

— Ale jeśli chcesz co zrobić, to trzeba się już dziś krzątać, bo wiesz co ludzie mówią: *Kto sieje groch w marcu gotuje go w garcu; a kto sieje w maju, gotuje go w jaju.*

— A prawda! —

— No, to wiesz co? — prawi Wojciechowa — idź ty do księdza proboszcza, a wypytaj się go dobrze, jak to sobie trzeba z grochem poczynać, aby był piękny i bujny. Wiesz przecie co to on nam przeszłego roku o uprawie warzyw się naopowiadał, a wszystko ślicznie i święta prawda, toć ja myślę że i dziś cię z kwitkiem nie odeszle.

— A prawda! — mruknął znowu Wojciech — trzeba pójść do Dobrodzieja, on tam zaraz na to poradzi. — I poszedł Wojciech zaglądnąć jeszcze tu i owdzie koło gospodarstwa, a potem wrócił do izby i wdziawszy świąteczną kapotę na siebie ruszył do księdza proboszcza.

Na bożym świecie ciepły i słoneczny był dzionek, czułeś jako wiosna całemi piersiami dyszała i w ziemi i w powietrzu, więc ksiądz proboszcz, spożywszy już dary boże, siedział na ławce przed plebanją z fajeczką na długim cybuchu, i cieszył się jasnem słonkiem, co mu ślicznie z boku przyświecało. Wojciech przybliżył się, a pokłoniwszy się do kolan Jegomości, opowiedział mu krótko całą swą potrzebę.

Więc ksiądz Proboszcz wysłuchawszy Wojciecha, usunął się na ławce i rzecze:

— Siadajcież Wojciechu koło mnie, a opowiem wam pokrótce o całej uprawie grochu.

Wzbraniał się trochę Wojciech przez samą skromność siadać na jednej ławce z księdzem proboszczem, ale w końcu musiał usiąść, bo to już taka dusza był ten Dobrodziej, co to umiał utrzymać powagę w kościele, w domu i na świecie, a przecie każdego człowieka za równego sobie brata uważał, i nikim nie gardził chyba złym i grzesznym. Dobrzy go też kochali nadewszystko, i szanowali, a źli się go bali jak ognia.

Otoż puściwszy z ust chmurkę dymu, tak jął ksiądz proboszcz rozpowiadać o uprawie grochu:

— Jeżeli chcecie mieć suty plon z zasiewu grochu, to potrzeba najprzód dobrze mieć na uwadze grunt, na jakim go siać zamyślacie, bo choć się groch udaje i na ciężkim i na lekkim gruncie, to zawsze najlepszy mu średni. Na gruncie mocnym, gliniastym, nie obradza dobrze i nadzwyczaj trudny jest do gotowania, zaś z roli dobrej a troszkę piaszczystej najwyborniejszy i jak mówią wrzący. Uprawa pod groch także nie może być byle jaka. Rola musi być czysta, sucha i krucha, a z chwastów i z perzu doskonale oczyszczona, bo na zaperzonej roli groch się nigdy nie uda, a tam gdzie się nigdy nie uda, ziemia na tem bardzo cierpi, bo się całkiem zaperzy i zniszczy. Dobrego plonu możesz się z pewnością spodziewać

na roli, która od kilku lat była starannie uprawiona i gnojona, a potem się dobrze odleżała i czuje w sobie niedawną mierzwę.

— Przepraszam jegomości że przerywam — rzecze Wojciech — ale toć to najlepiej by było świeżo a masnym gnojem zmierzwić, bo jużci gnój nigdy nie zawadzi.

— A broń boże! — zawołał ksiądz proboszcz — toć to właśnie źle, jeżeli się groch na świeżej mierzwie sieje. Dobrze jest gnoić świeżo pod pszenicę, pod ziemniaki, ale nigdy pod groch, a to temu, że groch nie może brać pokarmu z mierzwy dopiero co z ziemią zmieszanej, jeno z takiej, co już przynajmniej z rok w ziemi przeleżała, i innym roślinom już za pokarm służyła. Musi więc być rola masna i żyzna ale gnojem świeżo nie nawożona, ot naprzykład ziemniaczysko albo ozimczysko przed rokiem doskonale wymierzwione, co to i kruche i z chwastów wyczyszczone, a zobaczysz mój Wojciechu że ci się groch jak las uda, i nie tylko w garcu, ale w całym korcu będziesz go mógł warzyć.

— Ot, bodaj tak! Jegomość zawsze z dobrem i wesołem słowem — ozwie się znów Wojciech — ale też jeszcze proszę, jakiej to trzeba orki pod groch, i czy go dobrze jak najrychlej posiać?

— Pytacie się co do orki — rzeknie ksiądz proboszcz — no, to wam powiem, że kto sieje groch na ozimczyskach, to uczyni najlepiej, jeśli ściernie natychmiast płytko wyorze, potem wybronuje, a gdy się rola odleży, to niech ją wtedy powtórnie zaorze tak głęboko jak zwykle. W takim razie na wiosnę, jeśli rola jest czystą, należy ją tylko zbronować i zasiać, a jeno w tym rzadkim wypadku, gdyby rola była mocno zaperzoną, powinno się ją jeszcze zradlić, choć i to nie zbyt koniecznie. Ogółem, groch nie lubi wielkiego rozpulchnienia roli, dlatego, jeśli się go na ziemniaczysku sieje, a pod wiosnę do roboty zabiera, najlepiej jest r a z t y l k o z a o r a ć; bo choćby w roli nawet dużo było nasion i korzeni chwastowych, to za jednorazową orką pójdą one na spód, a świeża ziemia ze środka na wierzchu zostanie, i prędzej wtedy groch zejdzie niż chwasty, a choćby później i chwasty rosnąć poczęły, to je groch przytłumi i cieniem swym zabije. — Co zaś do siania, no to

wam i mówić nie potrzebuję że czem wcześniej na wiosnę tem lepiej, bo o tem już wszyscy i z przysłowia wiedzą. Wytłumaczę wam tylko dla czego to dobrze zasiewać groch wcześnie. Otóż pod wiosnę jest w ziemi najwięcej wilgoci, a groch jako ziarno grube i o twardej łusce, potrzebuje najwięcej mokra do kiełkowania; zresztą czem wcześniej wschodzi, tem prędzej chwasty w rośnięciu prześciga, a przymrozki wiosenne zupełnie nic mu nie szkodzą. Uważać i na to należy, iż groch jako ziarno największe, najgłębiej też w roli leżeć powinien, aby mógł co się zowie kiełkować i silnie w ziemi się zakorzenić. Nie używa się tu więc jak przy innem ziarnie brony po zasiewie, chyba gdyby rola twarda była, bo bronowanie jeśli nie lekkie, łatwo ziarno na wierzch wydobywa. Siejąc też groch w gruncie średnim, piasczystym, sieje się go pod skibę i to jest najlepiej. Przy oznaczeniu ilości nasienia, pamiętać na to trzeba, że dla grochu w polu i ptactwo i myszy i różne robactwo są szkodnikami, nie powinno się go też rzadko zasiewać, bo inaczej wyrośnie ci ladajaki chwast zamiast grochu, a lepiej gęsto i bodaj za gęsto jak za rzadko, jeśli nie chcesz mieć potem srodze zachwaszczonej roli. Groch gęsto zasiany, gęściej też wschodzi, i gęściej zarastając chwastom bardzo przeszkadza; a choć grochowiny wtedy cieńkie są i drobne, to zato na pokarm żyzniejsze. Dobrze jest siać razem z grochem bobik w radlonki; a także jest bardzo dobrze, jeśli w tydzień po zasiewie grochu lub nawet później żytem nieco po wierzchu posiejesz, i z lekka przebronujesz, bo zeszła jarka służy niby za tyczki dla grochu, gdyżci on wtedy nie kładzie się na ziemię i nie gnije, jakto bez jarki często się wydarza. Grochowiny stają się przez jarkę lepszą paszą, ziarno łatwo można z grochu przetrzebić, a łatwiej się też sprząta groch z jarką zasiany. —

Przestał na chwilę Jegomość, bo mu fajeczka wygasła, więc dobył siarniczków i zapalał, a Wojciech przechodził sobie tymczasem w głowie to wszystko, co z ust księdza proboszcza z wielką uwagą wysłuchał. Wreszcie widząc, że ksiądz proboszcz gotów z swą fajeczką, rzecze:

— To dobrze, mój Jegomościuniu, wiem już jak grunt

uprawiać i jak zasiewać, a no, więc wypadałoby mi się jeszcze dowiedzieć, jak sobie poczynać przy zbiórce, i co jest najlepiej zasiewać po grochu.

A ksiądz proboszcz na to:

— Zaraz mój Wojciechu, zaraz wam to opowiem. Otóż, jak tylko pouważasz, że w grochu się znajduje więcej strączków dojrzałych niż zielonych, chociażby i kwiat jeszcze się gdzieniegdzie pokazywał, to nie wyczekuj, jeno zbieraj, bo mógłby się później wysypać, o co najłatwiej po pierwszym lepszym deszczyku, a przytem i grochowiny czem rychlej zeżęte, tem więcej mają pożywności w sobie. — Na drugie wam odpowiem, iż musicie wiedzieć, że groch bardzo mało grunt wycieńcza i o wiele mniej niż pszenica, a to z tej przyczyny, że grubsze i mięsistsze łodygi i liście grochowe nabierają więcej pożywienia z powietrza, niż cienkie i suche łodyżki zbożowe, co prawie wszystko z ziemi wysysają. Jeżeli więc grunt jest żyzny, a był przedtem dobrą uprawą rozpulchniony i należycie oczyszczony z chwastów—jeżli też i zbiór grochu wcześnie nastąpił: to możesz śmiało siać oziminę na grochowisku i ślicznie ci wyrośnie. —

Ledwie tych słów ostatnich ksiądz proboszcz domówił, aż ci tu zaturkotało, trzasło z bata, i wózek jakiś zatoczył się na podwórko plebanji. Wojciech wstał z ławki, a uściskawszy dobrodzieja za kolana, rzecze:

— Ot, ktoś z sąsiedztwa przyjechał do jegomości w gościnę, więc ja już dalej nie zawadzam, a dziękuję ślicznie za tak dokładną naukę.

— A zrozumieliście wszystko dobrze? — pyta dobrodziej.

— O, zrozumiałem!

— Więc róbcie jak wam rzekłem mój Wojciechu, a pan Bóg niezawodną obfitością pracę waszą pobłogosławi! —

To rzekłszy powstał ksiądz proboszcz i witał się serdecznie z świeżo przybyłym gościem, a Wojciech szedł myślący do domu, i wziął się potem sumiennie do uprawy grochu, i zapłacił mu pan Bóg plonem najobfitszym, jakim niech i wszystkich błogosławi, co się oto pod wiosnę do szczerej pracy w polu zabierają.

RÓŻNOŚCI.

Jaki to w Rosji wielki zysk z lipowego łyka mają. Każdy kraj opatrzył pan Bóg jakimś darem w obfitości, który wynagradza inne niedostatki. Słyną Węgry z wina, Polska z pszenicy a Rosja z dziegciu i skór. I tak każdy kraj; ale oprócz głównych płodów, jest jeszcze dużo innych drobniejszych, które się także nie mało do zbogacenia narodu przyczyniają. Bo każdy człowiek zamieszkawszy jaką ziemię, patrzy i przemyśliwa, jakby z niej największy zysk mieć: to też Węgrowie nie samo tylko wino uprawiają, Polacy nie same zboża sieją, a Moskale nie samo skóry wyprawiają i nie sam tylko dziegieć palą. I taki człowiek albo i naród cały, który ze swej ziemi największe ciągnie korzyści, nazywa się **przemyślnym** i powiadają że u niego kwitnie **przemysł**.

Otóż kraj moskiewski co go to Rosją nazywają, jest zimny, nieurodzajny i bardzo lesisty, dla tego też z rzadka zamieszkały. Żyto i pszenica tylko z biedą się rodzą. Za to mają puste stepy niezmierzone i nieprzebyte lasy lipowe; więc hodują dużo bydła i wyprawiają skóry a w lasach palą dziegieć, które to towary po całym rozchodzą się świecie. Oprócz tego umieją Moskale bardzo dobrze korzystać z tych wielkich lasów lipowych, obdzierając korę czyli łyko i wyrabiając z tego różne rzeczy, jak wam to zaraz opowiem.

W tych miejscach gdzie się obdzieranie łyka co rok regularnie odbywa, wyrusza na wiosnę cały lud ze wsi, a to w maju lub w czerwcu, za nim jeszcze sok w drzewa wstąpi i udaje się z żonami, dziećmi i końmi w lasy. Tam we wielkiej pracy, grzęznąc nieraz po pas w błocie i oganiając się od nieprzeliczonej ćmy złośliwych komarów, przepędzają kilka tygodni; przez ten czas ścinają lipy i obdzierają korę. Potem kładą nagromadzone łyko do wody, podobnie jak u nas konopie, gdzie aż do późnej jesieni, bo do pierwszych mrozów leżeć musi. W końcu września lub na początku października wydobywają go z wody i suszą na wolnem powietrzu, a za nastaniem sanny, na co w onym kraju nie trzeba długo czekać, zwożą do domu. Tu dopiero znoszą do ciepłych izb, a gdy doskonale uschnie, rozdzierają na cienkie tasiemki i plotą z tego bardzo zręcznie przeróżne maty i rogóżki, i mają robotę przez całą długą zimę. Z jednej lipy będzie cetnar łyka, a dwanaście albo trzynaście rogóżek. Obrachowali że w północno-wschodniej Rosji co rok siedemset tysięcy lip ścinają, z czego nieprzeliczona ilość rogóżek się wyrabia, a co wszystko na nasze pieniądze rachując, około sześć miljonów ryńskich dochodu przynosi. Rozchodzą się te maty moskiewskie i rogóżki nietylko po całym kraju ale i za granicę bardzo dużo tego w handel idzie.

Otóż to taka marna rzecz, jak łyko lipowe, tak wielkie korzyści przynosi, skoro go człowiek pracą a zręcznością na różne potrzebne rzeczy przerobi. To samo rozumie się o wszystkich płodach ziemi nietylko w Rosji ale i w każdym kraju.

Za tanie pieniądze psy mięso jedzą. Sprawdziło się to przysłowie na dwóch gospodarzach, którzy sobie na

jarmarku od ladajakiego majstra ladajakie buty, ale zato tanio pokupili. Bo też to osobliwy był ten majster: nie szewc żaden ale stróż nocny. Otóż posłuchajcie jak to było.

Pan Filip za młodu sługiwał wojskowo i przyzwyczaił się do próżnowania; a że przytem i zdrowia trochę naszargał po świecie, więc jak wrócił do wsi nie mógł się żadnej uczciwej roboty uczepić, tak już był od tego odwyknął. Widząc gromada, że człowiek marnieje, postanowili składać się na niego, a że to wojskowy więc odważny, uradzili zrobić go stróżem nocnym, aby chat i dobytku od ognia i złodzieja pilnował. Więc pan Filip w dzień spał a w nocy śpiewał po wsi; i nie można powiedzieć żeby źle pełnił swoją powinność. Ale z czasem zaczęło mu się przykrzyć takie ciągłe próżnowanie, i przyszło mu do głowy żeby się jaką lekką robotą rozerwać. Więc pomyślał sobie pan Filip:

— Jak to dobrze być szewcem! kupi skóry, podłubie jakiś czas, i ma za to pieniądze. Ej, i mnie by się zdały pieniądze!

A że to był człek zarozumiały i lubił się chwalić, jak to we wojsku wszystkiego uczą i nie ma takiej rzeczy, którejby żołnierz zrobić nie potrafił — więc kupił zaraz skóry i wziął się do roboty. Ludzie się śmiali z niego, ale on chciał na swojem postawić i zostać szewcem. Pokrajał skórę podług starego buta, zamknął się w swojej komórce i zaczął szyć. Ciężko mu to szło, ale on się też bardzo nie sprzeciwiał, i tak po dwu tygodniach zrobił dwie pary butów i wyniósł na sprzedaż. We wsi nikt niechciał kupić, bo się wszyscy bali, wyniósł tedy pan Filip swój towar na jarmark; a że się nie bardzo drożył, więc mu się kupcy zaraz nawinęli i on te buty sprzedał. Poszedł potem prosto do karczmy i tam ludziom ze swojej wsi pokazywał pieniądze za buty i wszystkim rozpowiadał, jaki z niego dobry majster, żeby mu dawali robotę. Aż tu niezadługo przychodzi jeden z tych co od niego buty kupili, a ujrzawszy pana Filipa woła:

— Bójcie się Boga, człowieku! jakieście wy mi buty sprzedali; a tom ledwie kawałek uszedł, zaraz mi się rozlazły!

Na to pan Filip nic się nie zmieszał, ale opatrzywszy buty, pyta:

— A smarowałeś je ty człeku?

— Com zaś miał smarować, odpowiada tamten, buty nowe nie potrzebują smarowidła.

— Jaka to bestyja! krzyknie pan Filip, ja nie smaruję, on nie smaruje, i nie mają się buty rozleźć.

Wszyscy się zaczęli śmiać, a że to powiadają: oczy widziały co kupowały, więc też i on nieborak ze stratą musiał odejść.

W tem wchodzi drugi i to samo prosto do pana Filipa z krzykiem: że mu złe buty sprzedał, bo mu się już popsuły.

— A smarowałeś je ty człeku? pyta znowu pan Filip.

— Com nie miał smarować, przecie wiem, że nowy rzemień trzeba zawsze wysmarować.

— Jaka to bestyja! zawoła pan Filip, ja smaruje, on smaruje, i nie mają się buty rozleźć.

Tu się już nikt nie mógł od śmiechu wstrzymać, że się tak dowcipnie drugiego kupca pozbył; ale mu się już drugi raz sztuka nie udała, bo się wszyscy dowiedzieli, jaki z niego majster.

Niechże sobie ztąd każdy pamięta, że za tanie pieniądze psy mięso jedzą.

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.